Nr. 23. Lwów dnia 6. Lipca 1872. **Rok I.**

Wychodzi w każdą Sobotę.
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 złr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr.
w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr. - kwartalnie 1 tal. 8 sgr.
we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr. — kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcya: Ulica wałowa Nr. 19.

ŚWIT

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Główne ajencye: we Lwowie księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnia J. Wilda, w Poznaniu księgarnia J. K. Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.
Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleść w „*Świcie*“ wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy takowych.

Kwestya Słowiańska.

Do wielu przywidzeń, które nas udręczają coraz bardziej w miarę większej liczby doznanych rozczarowań, doliczyć należy jedno nowe przywidzenie, które się staje tem niebezpieczniejszem, iż przemawia w imię potęgi, najbardziej dziś uznanej w logice rzeczy ludzkich, w imię trzeźwego r o z s ą d k u. Każą polityce naszej wyemancypować się ze „szkolnictwa“ t. j. z pragnienia samoistności jako p a ń s t w a, bo taka polityka jest tylko „czczą jak wór sieczki frazeologią“— jest „siekanką serca.“

Powiadają, że we wieku „spełnionych czynów“, we wieku uznania historyozoficznego pewnika, że znana w prawie prywatnem „restytucya *in integrum*“ nie ma zastosowania w polityce i historyi, powinniśmy otrząść się z płonnych złudzeń i romantycznej wiary w odrodzenie p a ń s t w o w e i wyrzekłszy się przyszłości politycznej, zapewnić sobie w zlaniu z inną p l e m i e n n i e nam pokrewną społecznością, przynajmniej korzystną pozycyę społeczną. Zgódźmy się na odmianę formy naszego bytu i przyjmijmy kombinacyę polityczną, „do której wejść możemy z zachowaniem narodowej godności, bez najmniejszego uszczerbku honoru, bez konieczności zatarcia cech znamionujących naszą narodową indywidualność.“

Postawmy sobie rzecz jasno przed oczami. Jest więc, jak powiada, autor słów objętych w cudzysłowie, możebną pewna kombinacya, do której przystępując zachowalibyśmy — co? — „narodową godność.“ Wsłuchajmy się dobrze w brzmienie słowa, które tym razem nie jest frazesem, ale programem. Dotychczas nakazywano nam po wielekroć razy strzedz „narodowej godności “ jak koronnego klejnotu, ale tę straż drogocennej spuścizny uważano tylko, jako straż przejściową, dążącą do zachowania moralnych dóbr narodu przez ten smutny okres, który nas dzieli od doby p o l i t y c z n e g o odrodzenia. W dniach niewoli i pokuty każdy krok nasz powinien być nacechowany dążnością utrzymania narodowego honoru, powinien być kierowany myślą wewnętrznego udoskonalenia, myślą obmycia narodowej duszy z brudów i nałogów, które nas stoczyły w przepaść. To słuszne. Ale to jest program pracy na dziś. Jeżeli zaś w słowach „straż narodowej godności“ ma się już zawierać program zupełny na przyszłość; jeżeli więc każecie strzedz „honoru dla honoru,“ a nie „honoru dla życia,“ to należy wyraźnie napiętnować, że tu opuszczono świadomie po raz pierwszy jeden olbrzymi wyraz — o s w o b o d z e n i e p a ń s t w o w e n a r o d u. Wyrzekłszy się tego wyrazu, pojmujemy, że stanowisko się upraszcza, rzecz ułatwia, kombinacya już wszelka umożebnia. W niej nie ma (?) niebezpieczeństwa zatarcia cech znamionujących naszą odrębność indywidualną — to może i prawda, ale jest w niej konieczność a b d y k a c y i politycznej. A tego jeszcze nie chcemy. Że stuletniej pracy na polu umysłowego i materyalnego rozwoju, która odmieniła tak znacznie i to na lepsze fizyognomię naszą od r. 1772, z pracy, „której rezultatów nawet najzaciętsi wrogowie naszych przyrodzonych praw i naszej narodowości — Niemcy,“ zapoznać ani lekceważyć nie mogą, wysnuwamy wręcz przeciwny tamtemu wniosek. „Naród, który przed wiekiem upadł w rozprzężeniu i niemocy, a który po stu latach, po dwóch rzeziach i trzech wyczerpujących do dna powstaniach — staje młody i czerstwy oko w oko z wrogiem i woła: „Oto jestem, poznaj mię po moich pracach“ — naród taki ma niezaprzeczone prawo bytu i rękojmię przyszłości.“

A więc nie czas jeszcze na wchodzenie w takie kombinacye, gdziebyśmy mogli zachować tylko „narodową godność“ i „cechy znamionujące odrębność indywidualną.“ Pominąwszy to, że naród podporządkowujący własnowolnie i świadomie swą wcale jeszcze niewątpliwą samoistność, nie może mówić o zachowaniu „godności“, to nie umiemy wyobrazić sobie na zimno zlania się dwóch społeczeństw, chociażby plemiennie spokrewnionych tak, aby jedno z nich, materyalnie silniejsze, w bardzo krótkim czasie nie obudziło w sobie instynktów br

przemocy i nie zapragnęło hegemonii nad plemieniem słabszem, sięgającej do głębi narodowych dóbr tegoż plemienia — sięgającej do języka, obyczaju, piśmiennictwa, religii. Historya nie zna takich platonicznych związków, w którychby nie było materyalnej pożądliwości, a tylko grały moralne pobudki i uczucia romantyczne. Jest pewna brutalność na dnie ludzkiej duszy, którę zażegnać może do pewnego stopnia cywilizacya, ale której wykorzenić nie można do gruntu. Takie jest prawo historyczne u ludów, ceniących wysoko cnotę i słuszność w rzeczach międzynarodowego współbytu.

Ale któreż to jest owo plemię, z którem wejśćbyśmy mogli w kombinacyę „honorową" i bezpieczną?.. Ostatnie słowo Niemców słyszeliśmy z ust ks. Bismarka i hr. Eulenberga — brzmi dno: „zagłada." A więc o sojuszu z Niemcami nie ma już stanowczo mowy — zostaje Rosya. „Polacy i Rosyanie nie mogą w obecnej dobie zrobić nic mądrzejszego, jak podać sobie szczerze i stanowczo rękę do zgody, odpowiadając tym sposobem najserdeczniejszym życzeniom całej słowiańskiej rasy".

Gdzie tu romantyzm uczucia — gdzie tu frazeologia? Czy po naszej stronie, którzy opierając się na świadectwie historyi i naturze ludzkiej, będącej tą samą w jednostce i w narodach, opierając się wreszcie na poznaniu interesów politycznych i celów narodowych Rosyi, powiadamy, że koniecznością państwową dla tejże jest zgładzenie Polski, reprezentującej wręcz odmienne pojęcia społeczne, polityczne, religijne i naukowe, że jakikolwiek związek zawarłaby z nami Rosya, byłby to związek ułudny, dążący do uspienia podnieconych organów naszego życia a w danym czasie, do pochłonięcia nas; — czy po stronie drugiej, która w nienawiści ku Niemcom zapoznaje, iż może się kiedyś wytworzyć dla tychże polityczny cel w odbudowaniu Polski jako przeciwwagi w obec pochłaniającej wszystko a wówczas już może zjednoczonej z całą, na błędne drogi sprowadzoną Słowiańszczyzną; że nienawiść ku nam Niemców, jakkolwiek rasowa, mniej ma dla nas niebezpieczeństw, bo ani polityka nie jest fizyologią, ani Niemcy nie mogą pragnąć w obec oświeconych pojęć XIX a może i XX wieku zgermanizowania całych plemion; że wreszcie istnienie Polski dla Niemców jest kwestyą dogodności, dla Rosyi jest — kwestyą bytu?

Tyle w odpowiedzi „*Tygodnikowi Wielkopolskiemu*" i „*Correspondance Slave*".

Redakcya: „Świtu".

KSIĄDZ HUGO KOŁŁĄTAJ

i jego prześladowcy,

szkic biograficzno-krytyczny

przez

HENRYKA SCHMITTA.

(Ciąg dalszy.)

W takim składzie stosunków było łatwo przewidzieć, jak wypadnie głosowanie i za czem się oświadczy większość straży na pamiętnem posiedzeniu 23. lipca odbytem, jak wiemy, po poprzedniej poufnej naradzie króla z rodziną i przyjaciołmi, na której stanęło, że trzeba zadość uczynić żądaniu carowy. Chcąc orzekać bezstronnie, należy sobie dobrze uprzytomnić chwilę, w której miało się odbyć to posiedzenie straży. Po nadejściu szorstkiej z Petersburga odpowiedzi, odrzucającej z szyderstwem i wzgardą propozycyę wyniesienia na tron wnuka carowy, a nakazującej przystąpienie do Targowicy, miano dwie tylko drogi do wyboru. Trzeba było albo zgodzić się na rozpaczliwą walkę do upadłego w obronie nowej ustawy rządowej, albo zdawszy się na łaskę carowy przystąpić z jej rozkazu do Targowicy, która postanowiła uchylić tę ustawę, jako niby pogwałcającą odwieczne prawa i swobody Rzeczypospolitej. Chcąc walczyć, należało z góry mieć pewność, że ogół narodu ukochawszy nową ustawę, stanie cały w jej i ojczyzny obronie. Lecz tej właśnie pewności nie było wcale, skoro część ziemian przystąpiła już do Targowicy, a w samej straży było na 12 członków aż 6 jawnych lub tajemnych przeciwników ustawy 3. Maja, na dobitek zaś nadchodziły ciągłe wiadomości do Warszawy, że część oficerów różnych stopni sprzyja Targowiczanom, i dla tego donosi im a przez nich Moskalom o wszystkiem, co się dzieje w obozie lub postanawia na radach wojennych. O tem więc, by cały naród stanął do walki z Moskwą w obronie niepodległości ojczyzny, nie mogło być mowy, zwłaszcza że i król od dawna nie myślał o niej na prawdę, chociaż dla formy zwołał posiedzenie straży.

Jeżeli zaś dzięki czy to nieprzezorności patryotów czy też złej woli ich przeciwników kraj na wypadek wojny nie był należycie przygotowany, a w chwili stanowczej brakło bohaterskiego w masie narodu zapału i poświęcenia, co wszystko zniewalało do poddania się smutnej konieczności, jaką było wykonanie rozkazu carowy: powinien każdy bezstronny badacz owych czasów rozważyć sumiennie pobudki, któremi powodowali się pojedyńczy członkowie straży przy głosowaniu, zanim wyda sąd o nich stanowczy. Pobudki te mogły być dwojakie, ponieważ głosującym chodziło albo o ubezpieczenie całości przynajmniej kraju pod zwierzchnią jak dawniej opieką Moskwy, a tem samem o zapobieżenie nowemu rozbiorowi tegoż, albo o własną wyłącznie korzyść. Do ocenienia zaś prawdziwych pobudek każdego z głosujących nie może być skalą twierdzenie przyjaźne lub nieprzyjaźne jego stronnika lub przeciwnika, lecz w życiu jego całem należy szukać tej skali.

Na tej opierając się zasadzie, rozważmy głosy dawane na wspomnionem posiedzeniu straży. Z ośmiu, którzy oświadczyli się za przystąpieniem do Targowicy, było 6 przeciwników ustawy 3. maja. Siódmy t. j. Kazimierz Sapieha nie należał do jej twórców, chociaż nie chcąc rozrywać zgody, zaprzysiągł ją wraz z większością patryotyczną. Sam więc tylko Kołłątaj, jako ósmy z głosujących za tem przystąpieniem, może być i był rzeczywiście pomawiany o zmiennictwo, ponieważ doradzając złączenie się z konfederacyą targowicką, doradzał tem

samem uchylenie nowej konstytucyi, skoro taż konfederacya zapowiedziała wyraźnie w swym akcie, że celem jej głównym jest obalenie wszystkiego, co spisek 3. maja ustanowił ze szkodą praw i swobód Rpltej. Cóż mogło skłonić Kołłątaja, który tak ważną odegrał rolę przy ustanowieniu rzeczonej konstytucyi do odstrychnięcia się przy głosowaniu od Ignacego Potockiego, Sołtana, Ostrowskiego i Stanisława Małachowskiego? Linowski twierdził w r. 1795 a Luc. Siemieński zaręcza obecnie, że główną pobudką do tego była chęć zatrzymania podkanclerstwa i rozległych majętności tak świeckich jak duchownych, które posiadał. Obaj ci i inni oskarzyciele jego nie uwzględnili jednakże bardzo ważnej okoliczności, a mianowicie, że człowiek tak bystrego rozumu byłby niezawodnie najstosowniejszą obrał drogę, aby sobie upewnić urząd i dobra, gdyby mu o to było chodziło wyłącznie, że zatem samo już odjęcie mu późniejsze urzędu i zabranie majętności świadczy przeciw jego oskarzycielom. Dla czegoż nie prześladowano z równą zaciekłością Sołtana lub Ostrowskiego, chociaż na posiedzeniu straży głosowali przeciw przystąpieniu do konfederacyi targowickiej? Widać zatem, że podsuwane mu przez Linowskiego i innych tegoż kroju pobudki są równie prawdziwe, jak oszczercze twierdzenie Bułhahowa, że każdy, kto zechce, może ge kupić! Gdyby tak było w istocie, należałoby podziwiać niedorzeczność carowy, która mogąc wedle upewnień posła swego zakupić najzdolniejszego w owoczesnej Polsce człowieka, wolała opłacać drogo mniej zdolnych, niż jego ująć do swych planów! Jeżeli więc ani Bułhaków ani Targowiczanie nie chcieli go przypuścić do swych robót, jest w tem dowód najlepszy, że zrozumieli wybornie znaczenie głosowania jego w d. 23. lipca i prawdziwe pobudki, dla czego się odstrychnął od owych czterech.

Że Kołłątaj kochał szczerze ojczyznę i gotów był zawsze pracować w jej sprawie, dowodzi całe życie jego, a przekonania tego nie potrafi w sercach prawych zachwiać nawet Lucyan Siemieński. Zanim jednakże wyłożę powody, które go skłoniły do głosowania za połączeniem się z Targowicą, niech mi będzie wolno rozważyć, czy doradzana przez owych czterech dalsza na zabój walka była w owoczesnych okolicznościach możebną. Któż miał ją stoczyć? Król był jej stanowczo przeciwny. Połowa straży potępiała ustawę 3. maja, a ziemianie nie spieszyli pod sztandary. Wojsko lubo w części już zdemoralizowane byłoby się może pod wodzą jakiego bohatera biło jeszcze walecznie, lecz gdzież było na razie szukać tego bohatera? Jeżeli zatem owa mniejszość straży, mająca w swym środku marszałka sejmu, była rzeczywiście przekonaną o możności dalszej walki, dlaczegoż nie użyła przewidzianego w ustawie rządowej odwołania się do sejmu? Odpowiedź łatwa, że sejmu nie można było zwołać w tak nagłym wypadku. Lecz z drugiej również strony nie należy zapominać, że 30.000 wojska zebranego pod Korzenicami nie mogło marzyć o zwycięstwie, zwłaszcza gdy król nie był za dalszą walką. Mniejszość więc straży, wzywająca do dalszego oporu zbrojnego, działała konsekwentnie pod względem zasad, lecz doradzała rzecz niepraktyczną, ponieważ wiedziała z góry, że ani król ani większość straży nie pójdzie za jej zdaniem, i że zresztą walka dalsza w owej chwili była najzupełniej niemożebną.

(C. d. n.

CYD,

według Romancero Hiszpańskiego,

z przekładu Herdera

spolszczył

WŁADYSŁAW HR. TARNOWSKI

CYD

pod FERDYNANDEM WIELKIM.

(Ciąg dalszy.)

16.

Od ołtarza i z kościoła
Orszak ciągnie się weselny,
Don Rodrygo i Xymena;
Uroczyście przy Xymenie
Szedł król, opiekun małżonków,
Po Rodryga zasię stronie
Zacny Biskup, a za nimi
Długi orszak wlókł się wężem...
Jasnym łukiem tryumfalnym
Orszak zmierzał ku zamkowi,
Z wszystkich okien złotolite
Wiały strojnie wywieszone
Z pompą kobierce, makaty...
Ziemia była potrząśnięta
Gałęziami ziół wonnemi,
Cała wonnym rozmarynem...
Po ulicach i po placach,
Wzdłuż i wszerz aż do pałacu
Brzmiały chórem jednogłośnym
Strony ciche, melodyjne,
I krzykliwe też cymbały,
Winszowania, śpiewy, pląsy,
Śmiechy, dygi i ukłony,
W koło pompa — w koło wrzawa!..

Alwar Fannez wśród przyjaciół
Cyda, zawsze był najpierwszy,
Teraz w licznym sług orszaku
Ozdobiony rogi dwoma
Patrz! udawał sam bawoła!
Antolin zaś, sam na ośle
Był za konia tak przebrany,
Że się zdało w krotochwili
Jakby koń na ośle jechał.
Marcin Pelez miał zaś pęcherz,
Z którego na wszystkich miotał
Twardym grochem pośród wrzawy —
Do rozpuku król jegomość
Śmiać się raczył, i paziowi,
Co na postrach dam udawał
W maskaradzie tej szatana,
Dał garść pełną Marawedów,
By je między lud rozrzucił —
I prowadził król po prawej
Sam Xymenę a królowa
Jejmość sama w swej osobie
Podejmować ją raczyła,
A za nimi dworskie pany.
Dwór był głośny i wesoły —
I pszenicy złote ziarna

Tak miotano, że królewski
Pełny ziarna był kapelusz,
I Xymena pełno miała
Ziaren takichże za gorsem —
A król ziarna jej wybierał
Z śmiechem w obec swojej Pani;
Alwar Fannez co to widział,
Jako bawół ryczał głośno:
— „Zamiast głowy króla Pana
Wolałbym mieć jego rękę!“
— „Dajcie koszyk mu pszenicy!“
Wołał król, „a ty Xymeno,
„Gdy przybędziesz do pałacu
„To uściskaj go dla żartu!“
Ale od Xymeny duszy
Dalekim był śmiech wesela,
Zbyt się dziś szczęśliwą czuła,
By wesołą się okazać —
Wymowniejsze jej wesele,
Niż wesołość najgłośniejsza!

17.

Przed wyniosłym, złotym stolcem
Co zajmował biskup Wiktor,
Na Piotrowej Pan stolicy,
Stanął Henryk, cesarz Niemców
I tak żalił się w swym gniewie:
— „Ojcze święty! niosę skargę
„Przeciw Don Ferdynandowi
„Z Leon — Panu wszech Kastylii;
„Każde Państwo chrześcyańskie
„Zna mnie Panem i zwierzchnikiem,
„On — się tylko zaparł hołdu,
„On — zaprzeczył mi haraczu —
„Racz go zmusić Ojcze święty,
„By tak jak zachował wiarę,
„Cześć nam obu także chował!“
Groźny rozkaz Papież Wiktor
Szle do króla Don Fernanda,
I krucyatą grozi srogą,
Jeżli hołdu nie wykona
Apostolskiej swej stolicy
I cesarskiej wraz zwierzchności!
Długo w myślach król Kastylii
Tonął, w ciszy przemyślając,
Przewidując, rozważając,
Jakie groźne będą skutki,
Co ucierpi całe państwo,
Jeżli król się nieukorzy.
Wszyscy byli tego zdania,
Wszyscy radzą uledz sile —
Tylko Cyd — był nieobecny...
Był to pierwszy czas miłości,
Czas miodowy, w którym rycerz,
W swej, objęciach, śnił Xymeny.
Skoro wieść go o tem doszła
Wszystko rzuca — na dwór spieszy!
— „Chyba na srom i niedolę
„Kraju byłbyś zrodzon królu!
„O przenigdy! dobry Panie
„Taka hańba się nie stanie
„Dokąd żyjesz ty — i Cyd!
„Bo królewski honor cały,
„Jak od Boga poruczony,
„Obowiązkiem jest poddanych
„Bronić swojej krwi nie skąpiąc!
„Kto wam śmiał inaczej radzić,
„Radził rzeczy nie zgłębiwszy
„I twej chwały splamił blask —
„Wyzwij śmiało, tych co grożą!
„Po królewsku wyzwij śmiało!
„Jak lew, raczej, dam me życie
„Nim niemieckie te szerszenie
„W nasze miody pysk umoczą,
„W naszych zwycięstw owoc drogi
„Krwawo, łzawo okupiony,
„Bo jeżli im „Coś“ dasz królu
„Tobie „Nie“ nie pozostanie.“

(C. d. n.)

PITAGORAS,

USTĘP Z DZIEJÓW HELLADY

skreślił

DR WŁADYSŁAW DAISENBERG.

(Ciąg dalszy).

Jest to pewnikiem historycznym, któremu nikt skutecznie zaprzeczyć nie może, że cywilizacya helleńska jest najwyższą z cywilizacyi osiągniętych przez ludzkość w ciągu jej dziejowego pochodu, a jednak jeszcze nie wystarcza, jeszcze nam nie tłumaczy zkąd się bierze człowiek na ziemi, po co żyje, dokąd idzie? Oto pytania, na które Hellada nie daje nam żadnej odpowiedzi. Na te pytania szukamy zaś koniecznie objaśnień; im więcej o nich zapomnieć byśmy chcieli, tem się one jaśniej i z bliższa przed oczy nam stawią, a skoro na nie odpowiedzieć nie potrafimy, jak ów sfinks wtrącają nas w przepaść zwątpienia a tem samem niemocy duchowej. Ostatniem słowem cywilizacyi helleńskiej to te słowo Achillesa: „lepiej być dziadem na ziemi, aniżeli królem w państwie cieni,“ lub owo powiedzenie Teognisa, że najlepszem byłoby dla człowieka, aby wcale na świat nie przychodził, albo przynajmniej, aby o ile możności jak najwcześniej umarł. Oto najwyższa mądrość Hellady; mądrość wnosząca jak najlogiczniej, że największymi zbrodniarzami są ojcowie nasi i matki nasze, a największymi dobrodziejami dzieciobójcy!

A przyznajcie, czy dzisiejsza filozofia panteistyczna nie zdąża właśnie ku temu samemu celowi, czy mądre słowa Achillesa i Teognisa (aczkolwiek wzajemnie się wyłączające) nie mogłyby się odnosić do każdego, z helleńskiego stanowiska na świat patrzącego człowieka? Gdyby człowiek nie był istotnie niczem więcej jak tylko jednym znikomym pyłkiem w wszechświatowym organizmie przepadającym ze śmiercią ciała na zawsze i stanowczo, czyżby życie jego miało jaki cel? Czyliby miało jakiś urok, chociażby człowiek w jak najszczęśliwszem znajdował się położeniu, chociażby już na ziemi znajdował się w siódmem niebie Mahometa?

To wszystko naprowadza ludzi z myślą i czuciem na drogę romantyzmu, który życiu inne nadaje znaczenie i inną wartość, aniżeli Teognis, a i o życiu przyszłem inaczej sądzi, jak Achilles u Homera.

Najznakomitsi poeci wszystkich narodów i wszystkich czasów tęsknili ku żywotowi przyszłemu, czuli nicość życia doczesnego. Wiadomo przecież, że starzy Indowie pragnęli już za życia ulecieć w niebiosa, jeden ze znakomitych znawców indyjskich dziejów i literatury (Max Müller) powiada, że Indowie wątpili o tem, czyli są na ziemi, ale żywot przyszły, wieczny, był dla nich pewnością (*Carrière*, *Hist. sztuki* I s. 372). Cywilizacya Persów i Medów mieści w sobie pierwsza obok Hebreizmu wiele z tego, co za właściwość chrześcyańskiej cywilizacyi uważamy (*Laurent*, *Bad. nad dziej. ludzk.*

I s. 207). Egipcyanie wierzyli w nieśmiertelność duszy niewzruszenie; ich podanie o losach Osirisa było obrazowem przedstawieniem losu dusz ludzkich. Dyodor *(I 51)* mówi o Egipcyanach, że przeżyty tutaj na ziemi czas za nic sobie mają, przeciwnie życie zagrobowe w wielkiem jest u nich poważaniu; mieszkania żywych nazywają gospodami, a mieszkania umarłych, t. j. groby prawdziwemi mieszkaniami: dlatego też budują nie pozorne domy mieszkalne, ale wspaniałe groby. U Egipcyan napotykamy też parę tysięcy lat przed Dantem „Boską komedyę" przedstawiającą losy duszy po śmierci, jej pielgrzymki w świecie zagrobowym, sądy nad nią i jej przemiany. Gdyby tak zwana „księga umarłych," którę do grobów Egipcyan kładziono, w czasach Dantego znaną była, możnaby posądzić florenckiego poetę, że z niej korzystał. A ośmieliłbym się tych panów, według których cywilizacya Grecyi nie ma nic do zawdzięczenia Egiptowi, wezwać do porównania najpiękniejszego ustępu z literatury greckiej, dobrze znanego snu Platona z tą boską komedyą Egipcyan, a zapewne chyba tylko przypadkowi przypisaliby to uderzające podobieństwo! Nawet i prozaiczny Chińczyk zna życie zagrobowe i przeciwstawia je tutecznemu, ziemskiemu jako nieskończone skończonemu — podobnie jak Turanin (*Carrière* l. c. 202).

Lecz nietylko Oryent religijny, ale także klasyczna ziemia Hellenów miała swój żywot zagrobowy. Tak Epicharmus *(Spics, Logos Sperm.* s. 291) woła: ciało z ziemi do ziemi należy, ale duch z wysoka przyszedł na ziemię i tamże powróci! a Plato (*Cratyl.* 400 C.) głosi, że ciało jest grobowcem duszy. Gdzieindziej (*Azioch.* p. 365 E.) powiada Plato: „zauważ, że gdy już zerwaną zostanie łączność a dusza do swego rodzimego miejsca powróci, pozostałe ciało jako z ziemi pochodzące i bezmyślne, nie jest już człowiekiem; my jesteśmy duszą, jestestwem nieśmiertelnem, zamkniętem w śmiertelnem więzieniu; na naszą niekorzyść otoczyło nas przyrodzenie zmysłowością, której przyjemności są powierzchowne, przemijające i nigdy nie są wolne od cierpień, natomiast cierpienia są tak nieznośne, bolesne i nieustanne, że pozbycie się życia i wyzwolenie z pod jego władzy, przejście ze złego do dobrego stanowi."

Moglibyśmy dowieść, że nietylko u Chińczyków i Turanów, u Indów i Egipcyan, u Greków i Rzymian, u Babylonów i Asyrów, Hebreów i Perzów, Fenicyan i Syrów, Etrusków i Celtów, Germanów i Słowian wierzono stale w życie zagrobowe, w tajemniczą przyszłość człowieka po śmierci, ale co większa, najznakomitsi podróżnicy stwierdzają, że nawet między t. zw. dzikimi, ludami nie ma miejsca i nie było czasu, żeby nie wierzono w żywot przyszły, zagrobowy. A właśnie ta niepewność pod tym względem daje podstawę romantyzmowi, podstawę silną i niewzruszoną, jak niemniej i wiarę w przyszłe zwycięztwo romantyzmu nad klasycyzmem.

Tej niepewności klasycyzm nie wyrwie człowieczeństwu z jego najgłębszego wnętrza; ta sama niepewność z nieubłaganą koniecznością prowadzi klasycyzm do skeptycyzmu, do niedowiarstwa, a jeżeli co, to pewno skeptycyzm nie może zadowolnić człowieka z głową i sercem. Skeptycyzm jest też najwyższem stanowiskiem klasycyzmu; klasyk kończy tylko na „może" „prawdopodobnie," a to ostatecznie nie zadowolni człowieka.

Lecz ażeby romantyzm odniósł zwycięztwo nad klasycyzmem, potrzeba, aby równą bronią z nim walczył, podobnie jak spirytualizm prawami z chemii, fizyki i mechaniki powziętemi, walczy z materyalizmem; potrzeba główny nacisk kłaść na to, aby romantyzm poglądy swoje budował na prawdziwym stanie rzeczy, przedewszystkiem, aby sobie odrębnej logiki i psychologii nie tworzył, aby zaprzestał kształcić się wedle wzorów przez pierwszych romantyków, jak Tiecka, braci Szleglów, Novalisa podanych. Romantyk, który jak Tieck zapowiada, że sam dla siebie jest jednem i jedynem prawem w przyrodzeniu, już tem samem pisze wyrok śmierci dla siebie.

Dlatego też wiek dzisiejszy oceniać należy jako epokę walki toczącej się między romantyzmem czyli chrześcyaństwem a klasycyzmem czyli Hellenizmem. Umiejętność a za nią w znacznej części i poezya stają po stronie klasycyzmu, przeciwnie zaś życie samo ku chrześcyaństwu się skłania, gdyż nieskończenie większa liczba ludzkości moralność chrześcyańską t. j. ewangieliczną za jedynie prawdziwą uważa.

Wspomniałem, że o pogodzeniu hellenizmu z romantyzmem ani mowy być nie może. Filozofia Hegla nie będąca w istocie rzeczy niczem innem, jak tylko usiłowaniem pogodzenia romantyzmu Schellinga z klasycyzmem Hellenów, zrobiwszy jak najzupełniejsze *fiasco*, dowiodła niemożebności połączenia ze sobą tych dwóch wrogich sobie pierwiastków. Mimo to jednak przyznać musimy, że chociaż system Hegla jako całość nie ma po dziś dzień zwolenników, duch jego jest dzisiaj żywotniejszym, niż nim był kiedykolwiek. Możnaby jednak powiedzieć, że dzisiaj nie Hegel, ale klasycyzm i hellenizm w Heglu przyciąga do siebie, wabi, nęci, bawi, lecz wątpię, aby mógł zaspokoić głowę, nie mówiąc już o zadowoleniu prawdziwie chrześcyańskiego serca.

Czem grzeszą ludzie najwięcej? obojętnością bez wątpienia. Obojętność, zimno, brak zapału — oto największa klęska, jaka społeczeństwo spotkać może; ewangelia dobrze powiada: „letni dlatego że nie są ani gorącymi ani zimnymi, wypluci będą." Obojętność zdaje się być nawet nieszkodliwą, a jednak jest ona bardzo zgubną dla ludzkości; dostatecznie dowodzą tego dzieje wszystkich narodów: gdzie obojętność ogółem zawładła, tam, rzec można, wszystko stracone.

Obowiązkiem też jest każdego nie stawać się obojętnym, lecz ile sił mu starczy dążyć do poznania prawdy. Jakiekolwiek początkowo zajmie stanowisko, czy klasyczno-helleńskie, czy też romantyczne, jak skoro w dobrej wierze i szczerze pracować będzie, aczkolwiek sam może nie będzie do tyla szczęśliwym, iżby odgadł prawdę, niezaprzeczenie przyczyni się do wykrycia jej, a i to nie mała zasługa; a zasłużenie się ludzkości, to wszystko, co od ludzkiej jednostki żądać można.

W ogniu złoto czystszem się staje, tak też i ostatecznym rezultatem naukowych walk będzie czystsze złoto prawdy. Gdy walka na wszystkich liniach bojowych przeprowadzoną zostanie, okaże się po czyjej stronie słuszność i prawda. Płaszczykiem tolerancyi nie pokrywajmy próżniactwa i niedbalstwa naszego, gdyż tolerancya wcale się nie odnosi do zasad, ale do ludzi tylko. Jednostki ludzkie powinniśmy szanować, cenić, kochać, bo one są braćmi naszymi, jeżeli są w błędzie to raczej nad niemi ubolewać wypada, aniżeli korzystając z chwilowej siły naigrać się z nich, ale zasad nie należy nigdy tolerować, przeciwnie — jest obowiązkiem zawsze i wszędzie zwalczać te, które nam się mylnemi być zdają.

Dopokąd znów jaki geniusz nie pojawi się na świecie i nowych nie wskaże ludzkości torów, należy pracować głównie nad zgromadzeniem materyałów, z których w przyszłości nowa świątynia prawdy zbudowaną być ma. Materyały te zaś w dwojaki sposób zbierać należy, raz ze stanowiska fizyologii, a powtóre ze stanowiska historyi. Klasycyzm kładzie główny nacisk na fizyologię, zaś romantyzm przeciwstawia histo-

rye fizyologii. Klasycy przypuszczają, że świat jest Bogiem, a że Boga po za światem, albo właściwiej mówiąc po nad światem nie ma, że tem samem wolnej woli ani Bóg ani człowiek nie ma, bo wszechświat tak w całości jak i w najdrobniejszych szczegółach swoich, jest wypływem bezwzględnego rozumu świata, a wszelki nawet najdrobniejszy objaw w świecie jest nieuniknionym, od wieków przez bezwzględny rozum przewidzianym wypływem zarodkowej idei, tkwiącej od początku wszelkiego czasu w tymże bezwzględnym rozumie. Jak dąb nie własnowolnie wyrósł z żołędzi, lecz takim jakim jest, tkwił w ukryciu w żołędziowem ziarnku, tak świat dzisiejszy i przyszły, tak dobrze moralny i umysłowy jak i fizyczny, nie wywiązał się samowolnie lecz z koniecznością wypłynął z bezwzględnego rozumu. Otóż z tego wypada, wnioskują klasycy, że historyi właściwie mówiąc nie ma, boż skoro ona jest koniecznym wynikiem danej natury, istnieje tylko natura i jej prawo. Wprawdzie możnaby zapytać: gdzież jest prawodawca? lecz właśnie jest to aksyomatem monistów-klasyków, że prawo bez prawodawcy istnieć może. Według klasyków istnieje ostatecznie tylko jedna umiejętność natury czyli używając najwłaściwszego wyrażenia, f i z y o l o g i a w najogólniejszem tego słowa znaczeniu: inne umiejętności są tylko częścią fizyologii wszechświata.

Romantycy inaczej zapatrują się na historyę i fizyologię. Według ich sposobu widzenia istnieje umiejętność zajmująca się niezmiennemi w zasadzie prawami natury, istnieje fizyologia; lecz według ich twierdzenia natura jest, jak już Plato powiedział, dziełem sztuki stworzonem przez Boga, a prawa natury są tylko wypływem jego woli. Ależ z drugiej strony romantyzm przyznaje człowiekowi wolną wolę, jako podstawę jego działalności, jako środek czyniący możliwem dobre postępowanie i zasłużenie się; przyznaje mu wolną wolę o tyle, że nawet Bóg nie może jej nieuwzględnić. Skoro więc człowiek ma wolną wolę, ma ją i ludzkość cała, a wypływem tej wolnej woli ludzkości jest historya. Romantyzm uznaje też historyę o b o k fizyologii, zaś klasycyzm uznaje tylko historyę we fizyologii. Tą drogą poszedł Vico, Hegel, Buckle, Draper, Rénan — umiejętność klasyczna okrzyczała ich wielkimi historykami, ale nieskończona większość szczególniej w dzisiejszych czasach, nawet anti romantycy, jak Zeller, wystąpili przeciw takiemu pojmowaniu historyi.

(C. d. n.)

NA ORLICH SZCZYTACH.

Ja gdybym był o r ł e m, gnieździłbym się w górze,
Nademną by wichry szumiały i burze.
Ja z wichrem bym szalał w przegony,
I codzień bym ztamtąd na Kaukaz zlatywał,
I ssałbym krew wroga i pierś mu rozrywał
I w serce nurzałbym mu szpony...
A potem wysoko
Wytężałbym oko
Do słońca bym wzbijał się grodu,
Tu życie zakrzepło,
Tam światło i ciepło
Dla mego bym czerpał narodu!..
Na twardym bym w końcu pierś strzaskał granicie
I orli mój żywot dokonał,
Na góry rodzinnej usiadłbym gdzieś szczycie
I patrzył na lud mój i — konał!..

Bogdajto s ł o w i k i e m w zielonym być lesie,
Gdy echo roskosznie gwar piosnki rozniesie —
Ach! błogo bym żywot mój prześnił!
I taką bym ztamtąd piosenką zagruchał
Że naród by cały przystanął — i słuchał —
Ja bolę bym jego wypieśnił...
Jak słowik co z wiosną
Pieśń kwiląc miłośną
Sam w cierniach swej róży utonie:
Tak j e g o boleści
Pierś moja pomieści,
Ból jego zadrgałby w mem łonie...
We własną pierś moją te ciernie bym wpoił
I znów by piosenka zabrzękła,
Na wyższą, wciąż wyższą bym nutę ją stroił,
Śpiewałbym — aż pierś by rozpękła!

O chciałbym s k o w r o n k i e m uwisnąć w błękicie
I pieśnią oddychać!.. Ja całe me życie
W hymn jeden, hymn wielki bym streszczał,
I póty bym śpiewał, aż naród by cały
Wzrok rzucił w niebiosa i słuchał zdumiały:
Ja przyszłość bym jego wywieszczał!..
A potem bym z tęczy
Tam spłynął, gdzie jęczy
Mój naród w cierniowej koronie
I jeden skrwawiony
Cierń wziąłbym z korony,
Co dziki wróg wpoił mu w skronie,
I niósłbym go w niebo, w błękitów otchłanie,
Gdzie skarga umilka tłumiona,
I wołałbym z płaczem: O Panie, o Panie.
Patrz, naród, Twój naród tam kona!..

O! wiem ja że miło o r l e m i gdzieś pióry
Wzlatywać pod słońce, przepływać lazury,
Bić wroga w ojczystych nizinach
Lecz komu by skrzydła nie wzrosły do lotu,
I czyja dłoń słaba do miecza i grotu,
Ten orlem niech będzie w swych c z y n a c h...
Kto lud swój zrozumiał,
Przepieśnić go umiał,
Jak słowik-wieszcz żywot swój przeżył,
Ten zmierzył dal wzrokiem
I ten jest p r o r o k i e m,
Kto w życie narodu uwierzył!..
Kto cierpiąc z narodem, przecierpiał ból wszelki
I z nim się cierniowym splótł wieńcem,
O taki, wśród wielkich, jedynie jest w i e l k i m;
Choć ludzie go nazwą — szaleńcem!...

M. J. D.

NOWY OBRAZ
Jana Matejki,
przez
Alfreda Szczepańskiego.

(Dokończenie.)

Przed rozwieszonym namiotem zasiadł król w stalowej zbroi, w złotolitym płaszczu, pod nogi rzucono czarne niedźwiedzie na śnieg. Wyjętą klingę oparł król na kolanach, i trzymając na niej ręce. słucha. Męzkie

jędrne oblicze jego wyraża spokój ducha — widać w nim godność i pewność siebie, czujemy w tej postaci żelaznego człowieka, mocarza, który nie potrzebuje dodawać sobie znaczenia miną, lub spojrzeniem.

O kilka kroków usunął się na bok — iżby zachowany był wobec obcych majestat króla — niemniej jednak stoi na pierwszym planie obrazu, wielki hetman i kanclerz, tworzyciel królów, prawa ręka Batorego, Jan Zamojski. Tak samo jak król spokojny i poważny bez żadnego pozowania — bo on wie, że tu bez niego nic się nie stanie, bo on dzierzy buławę i pieczęć. Dwie te postacie otacza cała generalicya polska. Za stołem przegląda papiery Bazyli Ostrogski; widno wojenną, sumiastą i zdziczałą twarz Filona Kmity, który aż ku Wołdzie szerzy spustoszenie. Do rycerstwa i obozu, którego namioty i dymy widać w głębi, odwrócił się Jan Zborowski; mnogo na około starszyzny i rycerstwa, a jest tam i Heidenstein, sekretarz królewski, przyszły historyk tych wojen, a dalej na prawo jest tam i młody Żółkiewski i hetman kozaczyzny który tam jakby straż przyboczną trzymał; — bo pamiętał Batory o urządzeniu i prawach kozaczyzny, więc walczyła ona wówczas pod sztandarami Polski.

W takiem otoczeniu przyjmuje król poselstwo. Najbliżej stanął niefortunny pośrednik, Possevini, on wprowadza Moskali, on radby ocalić ich przed orężem Polski, bo obiecano mu i nawrócenie się i wyprawę na Turka. Usłyszym niebawem po zawarciu pokoju jak w Moskwie z niego i z papieża drwić będą — lecz wieki nawet oszukaństwa ani Possevina, ani następców jego niczego nie nauczą. — I kiedy znowu — lecz już ostatnia, za Zygmunta nadarzy się sposobność zapanowania Polski nad Moskwą, znowu jezuici i dwór rzymski zepsują całą pracę i uwiodą niedołężnego króla... Mimowoli te dzieje przychodzą tu na pamięć, a to tem bardziej, gdy ta moskiewsko-papiezka gra i dzisiaj się odnawia.

Grała Moskwa wówczas w sprawie zawarcia pokoju, tak jak car przykazał. To już nie ono poselstwo, które sobie w Krakowie dumnie poczynało — bo już teraz car nakazał do nóg upaść, a jak ten wielki król Batory da w twarz z jednej strony, nadstawić mu drugą. Więc biskup prawosławny z Pskowa na czele poselstwa ukląkł w ciężkim jaskrawym ornacie pontyfikalnym i podaje królowi chleb na tacy. Za nim inni członkowie poselstwa, bojarzy o tatarskich rysach, z których przebija dzikość, chytrość i upodlenie jako skutek niewoli; jeden w bogatej srebrzystej szacie uśmiecha się pokornie — to Naszczukin; Jelski stary wyciąga rękę z listem od Iwana, inny upadł plackiem na ziemię przed obliczem wielkiego króla; dalej Oboleński stoi ponury i przygnębiony. Za poselstwem eskorta polska, a w głębi widać Psków, jakieś tam przygotowania, może do składania hołdu królowi, jakieś uroczyste oczekiwanie, zapewne na wiadomości o uzyskaniu pokoju.

Oto jest rapsod z tych odwiecznych bojów dwóch państw. Obok siebie spokojnie istnieć one nie mogły — bo Moskwa wisiała nad Polską i Europą jako groźba bardziej gorsza od tatarskiej i tureckiej — a Polska potężna i wolna, naturalna przewodniczka Słowiańszczyzny to nieprzełamana zapora dla zaborczych żądz Moskwy, to wał odgraniczający ją od Europy, od Słowiańszczyzny.. Był czas, że Polska mogła zapanować, ucywilizować i zassymilować tego rodzącego się olbrzyma. Batory z Zamojskim, a potem Żółkiewski stanęli na jego karku. Okropne to były wojny; w wyprawach Batorego zginęło przeszło 300.000 Moskwy, a po kilkadziesiąt mil kraju zamieniono w pustynie, mieszkańców w pień wycinano. Budzący się naród moskiewski, zrzucił jarzmo carów, powołał na tron Polski królewicza Władysława — unia czy wieczyste przymierze Moskwy z Polską było rzeczą jeżeli nie pewną, to możliwą. Ale czarni nie chcieli tam dopuścić liberalnego Władysława, im nie szło o wolność, o pokój, o cywilizacyę, o chrześcyaństwo — ale o własne panowanie nad światem; oni sądzili że z pomocą lalki swojej, bigockiego Zygmunta IIIgo, zamienią Moskwę tak jak Polskę w swoją kolonię. Lud moskiewski odepchnął też politykę, która go miała poddać jezuitom, a gdy oligarchowie polscy poczęli rządem następnie na własną rękę zochydzać Moskalom Polskę, wprowadzać im gwałtem fałszywych carów, rzeziami i pożogą pochody swoje znaczyć — obudzili w tym ludzie poczucie godności i patryotyzmu. Poruszył się, zdobył na poświęcenie i bohaterstwo — i rozpoczęły się dla Polski straszliwe wieki wściekłego, nieubłaganego, historycznego odwetu. Kiedyż koniec tym dziejom? jakie wyjście z dzisiejszej matni?

Zaprawdę widok tego tryumfu na obrazie głębiej może jeszcze poruszyć duszę Polaka, jak poprzednio widok rozbiorczego sejmu, i głębiej ją zastanowić. Bo są obrazy Matejki zarazem lekcyą sztuki i lekcyą historyi. A jakaż to sztuka, co to za malowanie! Wszystko tam żyje; to nie płótno i farby, ale ludzie, charaktery.. Na poprzednich obrazach Matejki uderzało i przeważało pewne tło ciemne, ponure, pewna ciężka groza; jakaś żałobność, która francuskiej krytyce nawet zbyt monotonną się wydawała. Obraz ten zupełnie jest odmiennym, i nierównie większe przedstawiał trudności. Tu dzieje się rzecz pod gołem niebem, w biały dzień zimowy. Niebo jasne, słoneczne, a na ziemi śnieg; tu musi wszystko występować w swoich właściwych barwach, zlewać się harmonijnie i mieć dla siebie dosyć miejsca i powietrza. Tu musi się wszystko przedstawiać przed oczami naszemi w naturalnych swoich kształtach i rozmiarach, bez pomocy perspektywicznych złudzeń, które tylko na drugim i trzecim planie obrazu użyte być mogły. A jakaż to trudność była takiego przedstawienia tam, gdzie z jednej strony pompa królewska i wojenna — z drugiej swiat wschodni, jaskrawy i uroczysty naprzeciw sobie stoją. Podziwiam tę siłę pędzla, wpatrując się w tych ludzi minionych czasów, rozważam sytuacyę — ale nie stać mnie na to, żeby krytyczną sekcyę tego obrazu przedsiębrać. Komu tego potrzeba, niech sobie dopowie, co chce; — ja spisałem com widział, czem do mnie obraz przemówił i o czem do każdego Polaka przemówić on musi. I zdaje mi się żem zrozumiał to dzieło — a świat, który je zobaczy na wystawie powszechnej we Wiedniu, będzie się miał czemu pokłonić. Będzie tam więc Polska — i owa historyczna i dzisiejsza — godnie reprezentowaną, bo będzie tam *Litwa* Grottgera i *Batory* Matejki.

Wystawa sztuk pięknych we Lwowie.

I.

Nigdy jeszcze tak mało nie budziła interesu w mieście naszem wystawa sztuk pięknych, jak tegoroczna. Przemija prawie bez rozgłosu, a gdyby nie nadszedł obraz Matejki, przeminęłaby bez wspomnienia. Kto tu winien? Czy rzeczywiście publiczność lwowska tak jest

niewrażliwą na piękno, czy ta publiczność szalejąca za muzyką a do wysokiego stopnia posuwająca swój zachwyt w teatrze, miałaby tylko dla sztuki pędzlem tworzonej być nieczułą i apatyczną? Nie sądzę. Dajcie jej rzeczywiste użycie, a przywiąże się do obrazów z równą siłą, jak się przywiązała do fortepianu, gdy gra Mikuli i do sceny, gdy gra Modrzejewska. Wydział lwowskiego Tow. sztuk piękn. bez wątpienia zbyt mało rozwija zapobiegliwości i energii, wystawy bywają coraz uboższemi a tem samem i publiczność napływa coraz skąpiej. Możnaby powiedzieć, że właśnie apatya publiczności, niemająca artystycznych upodobań na szerszy rozmiar, jest powodem, że Tow. nie mając zasobów materyalnych, nie może zawiązywać szerszych stosunków, nie może skłonić malarzy do przesyłania obrazów i dzieł sztuki na wystawę mało oglądaną, w której bardzo rzadko zresztą obraz znajdzie pożądanego nabywcę. W tem jednak dowodzeniu zdaje mi mi się być trochę pokrzywioną loika. Wprowadzenie w życie pewnej instytucyi, obudzenie dla niej zajęcia powszechnego, wymaga zawsze pewnych nakładów na początku, zaryzykowania pewnego kapitału, któryby się dopiero powrócił z pomnożonego odbytu. Towarzystwo sztuk pięk. powinno było w pierwszych latach istnienia zaryzykować wszystko, wysilić się, szturmem zdobyć uwagę i interes publiczności, wtłoczyć jej po czucie sztuki w głowę — aż wzwyczajona raz do artystycznego użycia, potęgowałaby w sobie publiczność sama obudzone instynkta, chodziła na wystawy, kupowała obrazy, ceniła i tworzyła artystów. Bo sztuka prawdziwa ma tyle siły, co prawda. Ale dotąd wystawy bywają za skromne i za ubogie, za wiele mają cieni obok światła, aby mogły wszechwładnie zapanować nad umysłami do takich wrażeń nieprzywykłymi. Tow. nie ma żadnych funduszów — administracya wlecze się leniwo i „jak Bóg da" — a komitet temu wcale nie winien, skoro, ilekroć zwoła ogólne zgromadzenie akcyonaryuszów, ci się nie zejdą, nie wglądną w braki ustroju, nie pomyślą nad sposobami reorganizacyi Tow., i komitet zostawiony na łasce opatrzności pędzi dalej żywot tak suchotniczy i głodny

Jak aptekarza, który Romeowi
Sprzedawał gran trucizny . . .

Gdzie kilkaset osób, solidarnie związanych i odpowiadających za byt i rozwój Tow. oń się nie troszczy, tam nie można czynić wyrzutów komitetowi z kilku członków złożonemu, że nie tworzy cudów z niczego.

Wielkim brakiem, zdaje mi się, naszych wystaw jest zupełne prawie pomijanie dobrych obrazów niekrajowego pędzla. Pojmuję dobrze, że zadaniem wystawy jest pielęgnowanie sztuki narodowej i produkcya obrazów polskim pędzlem malowanych. ależ to właśnie zestawienie owoców własnej pracy z pracami zagranicy wytworzyłoby płodne współubieganie, otwarłoby szerszy widnokręg wyobraźni naszych artystów i wywołałoby wymianę duchowej treści pomiędzy naszą a zagranicznemi szkolami. To wszystko nie uszczupliłoby samorodnej ich twórczości, owszem sgotęgowałoby ją — a kraina ideałów rozszerzyłaby się dla nich bez miary. Zresztą przy całem uznaniu wysokiego stanowiska, jakie zajęli w świecie powszechnej sztuki Grottger, Matejko, Rodakowski, mogący kiedyś stworzyć szkołę polską malarstwa, trudno nie wyznać, że od artystów zagranicy wielebyśmy się jeszcze nauczyć mogli. A cóż dopiero publiczność! Jakżeby ta mogła dopiero wtedy wykształcić swój smak, rozszerzyć swe pojęcia estetyczne, polubić sztukę we wszystkich jej formach i rodzajach! Wystawa lwowska stałaby się bogatszą, wszechstronniejszą a Towarzystwu przyniosłoby to materyalne korzyści, któreby mu pozwoliły coraz bardziej rozszerzać swoje stosunki i swój wpływ.

Jeszcze jedna uwaga wstępna. Mile uderza na tegorocznej wystawie liczna obecność malarzy lwowskich. Dotąd zapełniały salon wystawy prawie wyłącznie malarze szkoły krakowskiej i monachijskiej, w tym roku zjawiła się wcale liczna drużyna artystów miejscowych. Grabowski, Raczyński, Tepa, Leopolski, Grabiński, Sidorowicz, Fabiański, Godlewski, Dzbański w dziale obrazów, Piotr Kozakiewicz i Bարącz w dziale rzeźby wystawili szereg prac mniej lub więcej udatnych, nie powiązanych wprawdzie typową cechą jednej szkoły, jak n. p. uczniowie akademii monachijskiej (Brochocki i Malecki), ale za to tem ciekawszy przedstawiający widok, o ile wrodzonym talentem i oryginalnością zastąpić mogli akademickie studya.

Zadaniem Tow. sztuk pięk. we Lwowie było wytworzenie talentów malarskich na miejscu, rozbudzenie w mieście żywszego ruchu artystycznego — w tem leżała żywotność Tow., i przyznać należy, że takowa poczyna być widoczną.

Po tych kilku wstępnych uwagach przechodzę do przeglądu tegorocznej wystawy. Przedewszystkiem uderza w niej i zadziwia zupełny brak obrazów treści religijnej. Zaczepiamy tu o kwestyę zasadniczą. Możeby kto powiedział, że malarstwo religijne nie odpowiada już duchowi obecnego czasu, żyjącego rozumowo, i czerpiącego ideały życia i natchnień artystycznych w sferze realnej. Zamknął się czas wiary i ascezy religijnej, nadeszła pora, w której tylko to, co jest wyrazem i kształtem zdrowego, ciepłego życia, co jest wizerunkiem rzeczywistości, może być płodnym i żywotnym motywem sztuki. Z tem się nie godzę. Jeżeli nie uznajemy już wiary za podstawę duchowego życia, to możemy ją i jej wypływ, religię, uznać przecież jako fakt historyczny, któremu malarstwo i architektura zawdzięczają swe najwdzięczniejsze i najpodnioślejsze natchnienia. Bez tej ascezy religijnej, bez tego zaczepiania swej myśli o ideały niebiańskie nie byłoby Danta, Angelica da Fiesole, Kaplicy Syxtyńskiej, Madon Rafaela i Sebastyana del Piombo, a już pewnie nie byłoby „Sądu ostatecznego" Michała Anioła ani „Wieczerzy" Leonarda. Otoż jeżeli trudno dziś wierzyć w prawdę scen niebiańskich, jakie nam opowiada religia katolicka, to można jeszcze przyjąć takowe, jako pełną malowniczości i wdzięku mitologię katolicką, mogącą być naówczas dla każdego nawet racyonalisty tak dobrem i bogatem źródłem artystycznych natchnień, jak była niem od wieków mitologia helleńska. Biblia i wiara przedstawiają nam cały szereg scen i przedmiotów, grupujących się prawie gwałtem w obrazy o bezprzykładnem bogactwie treści i kształtów. Ażeby je malować, można samemu nie mieć wiary, a tylko umieć się wcielić na chwilę w człowieka wiary. Taka inkarnacya nie powinna być niemożebną nam, którzy tak jeszcze blisko żyjemy czasów przepojonych wiarą, którzy dokoła otoczeni jesteśmy ludźmi, żyjącymi religijną extazą. Z ich twarzy zaczerpnąć możemy ten wyraz niebiańskiego rozmodlenia i eterycznego polotu ku Bogu, który potrzebny jest, aby malować apostołów, męczenników i — Madonny. Idealizm w sztuce zyskałby na tem bardzo wiele, gdybyśmy utrzymali w malarstwie religijne motywa, będące zawsze wyrazem jakiegoś wyższego duchowego podniesienia, jakiegoś wyzbycia się pęt ziemskich i tęsknoty za tem, co jest marzone, a więc lepsze od rzeczywistości.

Inna tu jednak nasuwa się jeszcze uwaga. Chodzi mi po prostu o to, że mimo racyonalizmu w życiu i sztuce, malarstwo religijne może mieć zawsze swoje uprawnienienie. Tu już nawet trochę zaczepić muszę o

metafizykę. Nie chodzi mi o Boga biblijnego, ani o dualizm Spinozy, ani o monizm Hegla, wyznaję szczerze jednak, że ducha wiary nie uważam za obłęd ludzkości, za mrzonkę przebytego okresu historycznego, ale za konieczny wyraz ludzkiej duszy, za świadectwo jej bytu, chociażby spokrewnionego z naturą, ale po nad jej materyalną skończoność wyzierającego. Kto nie może ścierpić Boga religii, może go uznać pod formą Boga filozofii, a poczucie religijne, a tę jakąś melancholię osiadającą na duszy ludzkiej i tęskniącą za niebem, która wydała tyle ascetów, może uważać za intuicyjne poczucie duszy, że się w sobie nie kończy, że jest owszem cząstką szerszej całości obejmującej cały świat inteligencyi i ducha. Jeżeli religijną tęsknicę i odnoszenie się do pewnej jednostki (Boga) nazwiemy takiem poczuciem cząstki, że jest pewna całość, obejmująca w sobie wszelki byt duchowy, to w takim razie przyjąć możemy religijną extazę i wiarę w Boga za fakt pocieszający, bo świadczący o samoistnym bycie ducha, za fakt uprawniony w każdym okresie ludzkiej cywilizacyi. Bóg — jako synteza ducha — przestaje być strasznym dla racyonalisty, może być tylko wstrętnym dla Büchnera. Tych zatem, których historya kościelna wskazuje nam jako ascetów, możemy uznać za ludzi, którzy fałszywie wyobrazili sobie w osobistym Bogu syntezę ducha, ale których poczucie bóstwa miało w gruncie swą metafizyczną prawdę, którzy więc nie popełnili niedorzeczności, ale ulegli prawu ducha, w nich bytującego i z nich przemawiającego.

Tak sobie tłumacząc religię otrzymujemy dwie korzyści. Jedną dla cywilizacyi, — bo wtedy nie jesteśmy przymuszeni twierdzić, że przez szereg tylu wieków ludzkość wierząca w Boga cierpiała obłąkanie umysłu, uznając istnienie czegoś, z powietrza zaczerpniętego lub w malignie stworzonego; drugą: dla sztuki, bo wtedy możemy śmiało twierdzić, że extaza religijna, będąca tylko świadectwem, że cząstka ducha w nas ma instynktowe poczucie o swej całości, może być zawsze płodnym i żywotnym motywem sztuki. Dlatego dziwimy się i narzekamy, że malarstwo religijne coraz bardziej upada, dlatego widzimy ze smutkiem, że na tegorocznej wystawie lwowskiej nie ma ani jednego oryginalnego obrazu religijnego — a zaledwie dwie kopie. O tych więc kopiach dziś jeszcze parę słów pomówimy.

Przypatrzmy się naprzód kopii Ant. Gramatyki (w Wiedniu), dokonanej z Van Dycka — *„Objawienie się Matki Boskiej św. Hermanowi.“* Nie jest to jeden z obrazów pierwszorzędnych antwerpskiego mistrza, ale dobrze w sobie odbija obydwa wpływy, które go wykształciły. Jest w nim pewna ostrość linii i koloryt więcej matowy, będący znamieniem sztuki północnej, jest rzewna słodycz wyrazu i harmonia w układzie, jako wynik studyów Van Dycka nad malarzami włoskiej szkoły, jest wreszcie pewna cicha melancholia, będąca już piętnem jego własnego, odrębnego geniuszu. Malarz polski umiał trafnie i delikatnie ująć tak ów wyrazisty, jakkolwiek nie szafujący jaskrawymi efektami koloryt Van Dycka, jak i duchowy wyraz Matki Boskiej, po niebiańsku spokojnej, a szczególnie św. Hermana, łączącego w swej twarzy zachwyt i wdzięczność. Wykończenie draperyi i ciała jest bardzo troskliwe, tylko włosy Archanioła, przyglądającego się z lubą uciechą grupie, są malowane trochę za grubo. Odchodzi się od tego obrazu z wrażeniem, że się widziało pracę sumienną, poważną i szlachetną.

Bardziej jednak przemawia do duszy kopia z Corregia: *„Zaślubienie św. Katarzyny,“* wykonane przez Jana Gałuszkiewicza w Paryżu. W historyi życia włoskich malarzy nie ma postaci czystszej i moralnie wspanialszej, jak Corregio (czyli właściwiej: Antonio Allegri da Corregio); duszę jego tchnącą na wskróś miłością dla ludzi i słodyczą odmalował prześlicznie w swym dramacie poeta duński Oelenschlager i tam już uczyliśmy się kochać Corregia — ale nikt go tak dobrze, tak słodko przemalować na papier nie zdoła, jak on sam to uczynił pędzlem.

Obrazy jego są sielankami o takim wdzięku i poetyczności, o tak wysoce idealnem poczuciu formy i kolorytu, o tak zawsze dostrojonem i plastycznem ugrupowaniu postaci, że dusza pod ich wrażeniem czuje się dziwnie ukołysaną, owioniętą jakimś fiołkowym zapachem poezyi. Panu G. udało się bardzo dobrze odtworzyć idealną słodycz w twarzy Maryi i figlarny uśmieszek dziecięcia boskiego, pozbawionego jeszcze samowiedzy, ale w tem braku rozgarnięcia dziwnie też powabnego. U Jezusa niema jeszcze piętna boskości, bo ta w dziecku dopiero tak małem byłaby wyrazem sztucznym i narzuconym, ale boskość spływa nań z Maryi-rodzicielki, na której kolanach siedzi i ślubną obrączkę podaje św. Katarzynie, będącej (mówiąc nawiasem) postacią w obrazie najmniej sympatyczną, bo chorobliwie bladą i ckliwą. Koloryt obrazu jest południowo-oliwny, ciepły i soczysty, a całe malowanie zdradza wykwintne poczucie artystyczne. Tchnienie iście duchowe przewiewa się przez cały ten obraz. Szczerze winszujemy panu G. kopii wykonanej tak dobrze, wiernie i poetycznie.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

(Scena z *„Makbeta.“* — *„Fortepian Berty.“* — Komedye p. *Stanisława Dobrzańskiego.* — *„Adryanna Lecouvreur.“* — Pani *Modrzejewska.*)

Zniewolony chorobą zaniechać bywania przez pewien czas w teatrze nie mogę podzielić się wrażeniami kilku ostatnich występów pani Modrzejewskiej w „Hamlecie,“ „Dalili,“ „Beatrix Cenci“ i „Fru-fru,“ ale to mię pocieszа, że z wyjątkiem „Beatrix“ są to wszystko role tej artystki, we Lwowie juz wielokrotnie widziane i słusznie osądzone.

Przechodzę więc od razu do kwodlibetowego przedstawienia (d. 1 b. m.) na fundusz „Opieki narodowej,“ które oprócz części spiewanej przyniosło nam parę scen z „Makbeta“ i dwie komedyjki. Makbeta grał p. Ładnowski, Lady Makbet pani Aszpergerowa. Odegrano sceny zabójstwa Dunkana. O ile z tego, bardzo zresztą wybitnego ustępu wnioskować możemy, p. Ł. byłby powołanym do znakomitego odtworzenia całej postaci Makbeta. Jednej tylko rzeczy nie dostawało grze jego. Makbet jest naturą heroiczną, pierwiastkowo nawet wzniosłą i po rycersku szlachetną, ale żywiącą w swem szerokiem łonie nieuleczonego demona ambicyi. Cały dramat Makbetowski jest pasowaniem się tej ciemnej potęgi, zalegającej dno duszy a uzmysłowionej w czarownicach ze—sumieniem.. Rozprawa tych żywiołów Makbetowego wnętrza jest dlań niełatwą—męczy się i wytęża nerwy, aby odegnać posępne wiedźmy z przed wzroku ducha, to znowu, aby stłumić

reakcyę sumienia. Makbet musi więc mieć w owej scenie IIgo aktu ślady zmęczenia fizycznego i moralnego na twarzy, głos jego powinien drzeć bezdźwięcznie, pierś febrycznie się podnosić i opadać, a scena ze sztyletem powinna się przedstawić jako ostatni pojedynek sumienia z namiętnością. To wszystko było u p. Ł., ale nie było piętna heroicznego i wzniosłego na tej postaci, które było Makbetowi właściwem w akcie I, które jest dlań koniecznem jeszcze w akcie II, a które się dopiero stopniowo zaciera w miarę tego, jak Makbet coraz bardziej przechodzi w prostego zbrodniarza... Powinno się czuć w nim spętanego Tytana, którego jędrność i siła jest bezprzykładną, a w którego zamąceniu wewnętrzem dostrzedz można ostatnie jeszcze przebłyski wzniosłego bohatera. Makbet tak złamany w pierwszej scenie aktu IIgo, jakimże byłby w ostatnim? Jakichby kontrastów potrafił użyć p. Ł., aby siłę tego wewnętrznego upadku i rozprzężenia przestopniować przez cały rozwój dramatu i doprowadzić go w akcie V do szczytu? Po za tym błędem zasługuje gra pana Ł. na bezwzględne uznanie. Szczególniej sceny po zabójstwie Dunkana były oddane z przejmującą i całe rozprzężenie duszy wiernie malującą grozą.

Uważam to prawie za osobistą przysługę wyrządzoną mi przez panią Aszpergerowę, że tak a nie inaczej pojęła rolę lady Makbet. Uważałem zawsze, że tylko takie jej oddanie ma swe prawdopodobieństwo uzasadnione w naturze ludzkiej i w warunkach dramatycznego charakteru. Miałem niedawno długi spór z bardzo znakomitym znawcą sztuki, który od lady Makbet żądał posągowego s p o k o j u zbrodni, żądał tak zupełnej pewności siebie w chwilach osnuwania i dokonywania czynów przerażających, że taka lady Makbet wydała mi się zjawiskiem nieludzkiem, pozbawionem zresztą dramatycznego interesu, bo nie przedstawiającem od pierwszej do ostatniej sceny żadnego psychicznego rozwoju. Taką np. kobietą z marmuru była w tej roli pani Rakiewiczowa. Był to posąg o wspaniałych liniach, nie było człowieka— a my tylko dla ludzi żywimy na scenie interes. Pani A. pojęła postać lady Makbet zarówno silnie, ale stokroć prawdziwiej i szlachetniej. Była to również tytaniczna walka dwóch sprzecznych żywiołów, ale to już nie były żywioły d u s z y: namiętność i sumienie; z jednej wprawdzie strony i tu grało rolę sumienie t. j. jego reakcya przeciw zamierzonej zbrodni, jego t r w o g a i o d r a z a przed nią, ale z drugiej stanęła siła w o l i, pokonująca wszelkie skrupuły owej lepszej części człowieczeństwa. Pani A. po mistrzowsku odmalowała te męczące wysiłki woli, chcące reakcyę sumienia zagłuszyć, miała na drżących ustach piekielny śmiech, który jednak nie był śmiechem istoty pewnej siebie, ale konwulsyjnie ze sobą się łamiącej. Chód zaś lady Makbet ku łożnicy Dunkana i gra jej fizyognomii na wschodach do sypialni królewskiej były najsilniejszym i wspaniałym momentem tego pasowania się olbrzymiej woli z kobiecą naturą. Tak tylko przedstawiona lady Makbet ma swoją prawdę, swoją siłę i swą dramatyczność.

Wdzięczna komedyjka pp. Th. Barrière i Lorin: „F o r t e p i a n B e r t y,“ o której powiedziećby można z Juliuszem Clarétie, że ma woń lilii lub dymiącej pulardy, była odegraną z tak wzorowym *ensemblem*, że mieliśmy małą biesiadę umysłu. Pani Modrzejewska (Berta de Beaumont) olśniewała wytworną elegancyą i poetyczną czułością, a pan Kwieciński (Frank) grał lekko, sympatycznie i uczuciowo. Z serca winszujemy p. K. gry tak miłej, tak pomyślanej wdzięcznie i odczutej delikatnie.

W ostatnich czasach widzieliśmy na scenie tutejszej dwie krotochwile p. Stanisława Dobrzańskiego. Chcielibyśmy wysnuć sobie jakiś pewny wniosek, czy p. D. ma talent pisarski i czy uboga nasza literatura dramatyczna może w nim powitać adepta obiecującego? Przyznaję jak inni tutejsi krytycy, że komedye p. D. mają wiele ruchu i życia. Trzeba być ślepym i głuchym, aby tego nie uznać; mają nawet wiele śmiechu, ale czy to już wszystko? W komedyach p. D. — to wszystko, ale prawdziwa sztuka mówi, że to zaledwie surowy budulec... Chętniebyśmy pragnęli dostrzedz w tych wiotkich utworach pewnej szerszej myśli, pewnego sensu logicznego, pewnych dążności, aby odtworzyć ludzkie stosunki, pochwycić ludzkie typy, powikłać je we wiązkę komicznych ale prawdopodobnych sytuacyi i dać widzom pokarm, któryby ich rozśmieszył i zabawił nie jak się bawi dzieci, ale dojrzałych a lubiących dobry humor ludzi. Bo cóż to jest śmiech? W życiu śmiejemy się z lada błahostki, z czerwonego nosa, z lada urwanej poły od fraka — ale w tym śmiechu nie wyłania się istota nasza — jest to sobie jakaś bezmyślna gra nerwów, w której dusza i umysł nie biorą udziału. Taki śmiech towarzyszy komedyom p. D., które się strzegą wszelkiego dowcipu osnutego na poważniejszem wniknięciu w stosunki ludzkie, wszelkiej refleksyi humorystycznej, ale choć trochę głębszej. Że p. D. ma nieco wrodzonego dowcipu—to widać, że ma pewną zręczność w scenicznym układzie swych komedyi, że umie grupować, rozstrzelać i skupiać swe figury, plątać i rozsnuwać intrygę, to widne tak z „P o d e j r z a n e j o s o b y,“ jak z „O n u f r e g o,“ ale że tych wrodzonych zasobów nie zapragnął poprzeć podłożeniem tła głębszego, kompozycyą gruntowniejszą charakterów, zważaniem na logikę i tworzeniem kolizyi uprawdopodobnionych wzorami życia a nie tak banalnych, jak w „Onufrym,“ tego na teraz nie możemy wybaczyć p. D.; pewni jednak, że z czasem pojmie autorstwo dramatyczne bardziej na seryo, piszemy tych parę uwag przyjaźnych.

Jeszcze „Podejrzana osoba“ z pominięciem jednego, za grubego i cynicznego dowcipu (?) mogłaby się jako świąteczna forma utrzymać, zwłaszcza przy komicznej grze p. Doroszyńskiego (Zdziebko), ale „Onufry“ razi już n a z b y t swą bezmyślną intrygą, aby nawet rzadki talent p. Nowakowskiego mógł go uratować. Tu nastręcza mi się uwaga, czemu dyrekcya tak rzadko powierza role panu N., który jest zawsze artystą tak oryginalnym, tak myślącym i wszechstronnym? Zaiste p. N. jest godnym daleko piękniejszych zadań artystycznych, jak rola Onufrego.

Wczoraj pożegnaliśmy w roli „Adryanny Lecouvreur“ panią Modrzejewską. Czujemy potrzebę wypowiedzenia w chwili pożegnalnej kilku uwag ogólnych, jak to się zwykle czyni, będących syntezą pojedynczych sądów o grze artystki w jednej lub drugiej sztuce. Żeśmy to jednak raz już w obszerniejszem uczynili studyum, pozwalamy sobie z niego wyjąć tu parę ustępów mogących służyć na ten rok za zamknięcie rachunków z wielką artystką:

„Tajemnicą sztuki dramatycznej jest zawsze i to przedewszystkiem ujęcie zasadniczej idei w charakterze mającym się przedstawić, tej idei, która powinna przelać się całkowicie w szczegóły i tak w nich utonąć, ażeby każdy moment gry był plastycznem jej tylko wcieleniem i żeby ona widzowi wypływała z każdego szczegółu jasno i wyraziście, jako synteza wrażenia. Musi to być najdokładniejsze zlanie się obu czynników. Idea nie może sobie wynaleźć innego środka do zewnętrznego objawienia się jak w szczególe gry, a każdy znowu ów szczegół,

każdy moment jest tylko wtedy uzasadnionym logiką piękna, jeżeli jest skończonym i jedynym wyrazem idei. Bo estetyka mówi, że każda idea ma tylko jeden, sobie właściwy sposób plastycznego wyrażania się, ale za to w tem wyrażeniu zawiera się już skończenie i doskonale. Otóż wynaleźć ten właściwy zawsze kształt zewnętrzny na myśl zasadniczą charakteru, w każdym szczególe okazać ją w pełnem świetle a przytem nie zatrzeć znaczenia szczegółu, to jest zadaniem może najtrudniejszem dla artysty dramatycznego. Ten wysoki przymiot posiadła w całej pełni nasza wielka artystka. I ztąd to płynie owa harmonia w pojedyńczych fazach jej gry, bo każdy moment gry jest tu logicznym rozwojem i wykańczaniem się w sobie organicznem tej idei, która stanowi pierwiastek całego charakteru. W kreacyach pani Modrzejewskiej jest taka surowa logika, jak w życiu natury i ducha. Jej gra jest nieskończonem rozsnuwaniem się szczegółów, jak w kalejdoskopie i równoczesnem logicznem budowaniem się idei, która jednak w każdym już szczególe jest całkiem widoczną i przeźroczystą, ażeby potem na końcu raz jeszcze wypłynąć jako jedność zamykająca w sobie mozajkę szczegółów. Pierwszą więc cechą gry pani Modrzejewskiej stanowi d o s k o n a ł a h a r m o n i a p o m i ę d z y z a s a d n i c z ą i d e ą c h a r a k t e r u a j e j w c i e l e n i e m s i ę w s z c z e g ó ł a c h."

„W ostatnich wierszach zaczepiliśmy już mimowolnie o drugi wysoki przymiot tej artystki, który jest najwyższą jej chwałą i oryginalnością. Nie ma sfery myśli lub działania ludzkiego, gdzieby nie walczyły pod różną postacią te dwa pierwiastki: idealizm i realizm. Najwyraźniej dla pojęcia i zmysłów ludzkich występuje ta walka w sztuce dramatycznego przedstawienia, gdzie tak wiele zależy właśnie na widomej każdemu, zmysłowej formie. Otóż od dawna dzielą się artyści dramatyczni na zwolenników idealizmu i realizmu w grze i każdy też z tych obozów wydał w czasie znakomitych artystów. Najdoskonalszym przedstawicielem pierwszej szkoły był w Niemczech do niedawna Józef Wagner, do drugiej należy pod pewnym względem nasz Jan Królikowski, jakkolwiek w nim już występuje realizm ułagodzony i podający rękę drugiemu kierunkowi. Pani Modrzejewska jest tak szczęśliwą, że zdaniem naszem wynalazła sposób połączenia tych dwóch pierwiastków w jedną, wyższą, prawdziwie poetyczną całość. Gra jej wypracowaną jest do najsubtelniejszych odcieni, wyrzeźbioną w najdelikatniejszych przejściach psychicznych, wykończoną z dokładnością natury, jest więc wzorem realistycznego pojęcia sztuki a równocześnie jakaż to barwa poetyczna rozlewa się po każdej kreacyi tej artystki i dźwięczny ku nam echem ideału! Wykończenie realistyczne w szczegółach i równocześnie przesiąknięcie wszystkiego kolorytem idealnym, to, ja myślę, jest najwyższym problematem sztuki. Tę jej potrzebę pojął jasny duch naszej artystki i dlatego drugą, a zupełnie oryginalną cechą jej gry jest: p o g o d z e n i e o b u p i e r w i a s t k ó w s z t u k i, i d e a l i z m u i r e a l i z m u w w y ż s z e j j e d n o ś c i."

„To byłaby, że tak powiem, metafizyczna strona moich obserwacyi. Ale pani Modrzejewska pomieściła w swoim talencie tyle różnorodnych zalet i to w najwyższej mierze, że niepodobna nie zwrócić na nie krytycznej uwagi. Taką właściwością niezwykłą jej gry jest d o s k o n a ł a, p r a w i e k l a s y c z n a m i a r a w przedstawianych przez nią przejściach uczuć i charakterów. U niej to właśnie jest ta granica, gdzie najpoetyczniejsza sztuka zlewa się z prawdą natury. Patrząc na nią w każdej fazie uczucia, w każdem wstrząśnieniu namiętności, w każdym rysie charakteru, zapominasz zupełnie, że patrzysz na scenę a nie na życie, bo masz sobie wszystko wyłożonem tak jasno, z taką prostotą i namacalną prawdą natury, z takiem pominięciem wszystkich spłowiałych efektów rutyny scenicznej, z tak łagodnem umiarkowaniem, które w sobie zarazem mieści prawdziwą siłę!—tylko że wszystko jest powleczone wdzięczną gazą szczerozłotej poezyi. Ale do tego potrzeba całkowitego przelania własnej istoty w charakter przedstawiany, ażeby w grze nie pozostało nic z artysty, ażeby taka Ofelia, taka Julia wszystko co myśli, czuje i mówi, myślała, czuła i mówiła z głębi istoty własnej a nie artystki. Pani Modrzejewska przed każdą swą rolą zaumiera jako artystka, aby, jak Fenix, z własnych popiołów wygrzebać się potem taką Ofelią lub Julią... To zupełne zatarcie własnej realnej istoty, ażeby się za to odrodzić tem promienną w niezamąconej już niczem sferze ideałów sztuki, jest także najwyższem zadaniem artysty, które dopełnia pani Modrzejewska umiejąc z rzadkiem mistrzostwem p r z e l a ć s i ę z a w s z e z c a ł ą s w o j ą i s t o t ą w p r z e d s t a w i o n y p r z e z s i e b i e c h a r a k t e r d r a m a t y c z n y."

„To są wszystko wewnętrzne cechy talentu naszej artystki, nadające wszystkim jej kreacyom skończoność organiczną i zarazem ów koloryt idealny. Sztuka jednak dramatycznego przedstawienia mieści w sobie jeden nieodzowny jeszcze pierwiastek, który w niej z większą niemal siłą występuje, jak w rzeźbie. Jest to: plastyka zewnętrznego pojawu. Sztuka o tyle utrudnione ma spełnienie tego przeważnego warunku, że gdy rzeźbiarstwo wykańcza swe linie i zarysy w piękną całość na martwym, bo kamiennym materyale, to plastyka sceniczna jest pełną życia i ruchów, które tu trzeba co chwila misternie ustrajać i układać, ażeby ciągle spływały w harmonijną i wdzięczną całość. Otóż, jeżeli który, to ten przymiot posiada pani Modrzejewska; każda jej poza tragiczna, każde jej poruszenie najlżejsze czyni z niej doskonały posąg, szukający tylko nadaremnie nowożytnych Praxytelesów. Ale naszej artystce nie chodzi tylko o zmysłowe czarodziejstwo wrażenia, jej zależy na tem, by przez to falowanie ciała dopomódz zawsze do tem doskonalszego wyrażenia się idei. J e j p l a s t y k a j e s t n a w s k r ó ś d u c h o w ą, w każdej linii, w każdym załomie, każdem poruszeniu ciała jest przepromieniona ideą."

„Ceniąc tak wysoko artyzm pani Modrzejewskiej nabyłem, sądzę, prawa uczynić też zarazem uwagę, że ten prześliczny talent ma jednak swoje strony mniej doskonałe. Są pewne sfery sztuki leżące po za jego zakresem i dokądby artystka bez krzywdy dla swej znakomitej twórczości na innem polu, sięgać nie powinna. Zapytajmy więc naprzód, gdzie to leży owa właściwa sfera, w której pani Modrzejewska jest pierwszorzędną mistrzynią? S f e r ą t ą, mojem zdaniem, jest s e r c e i w s z y s t k o c o z n i e g o p ł y n i e."

„Wszystkie charaktery, których tłem jest serce z jego boleścią, rzewną tęsknotą i łzawym nastrojem, tam pani Modrzejewska ze swym wdziękiem smętnym na twarzy, ze swym głosem pełnym słowiczych melodyi i miłośnych upojeń, wywiera na duszy wrażenie niewysłowione, wstrząsające. Marzenie dziewicze, spokojną głębokość uczucia i rozpaczliwą boleść spękanego serca, maluje ta artystka z nieporównanym wdziękiem i przepychem prawdy, dlatego scenę balkonową Julii i sceny obłąkania Ofelii, uważamy za niedościgłe wyżyny sztuki, jak znowu Maryę Stuart (Szylera) za najbardziej wykończoną i prawdziwie klasyczną, jakkowiek mniej genialną jej kreacyę.

I tam, gdzie ta dziewicza rzewność uczucia uderza w inny, gorętszy ton, gdzie marzący spokój wzbiera falą wezbranej namiętności, a owa spiewna błogość duszy zamąca się żądzą rozkoszy, nawet i tam jest pani Modrzejewska zawsze mistrzynią (Dalila, Marya Stuart Słowackiego). Namiętność jest spotęgowanym dźwiękiem serca, jeżeli nie przechodzi w chuć już czysto cielesną i dlatego to pani Modrzejewska przedstawia ją z równie wysokim artyzmem, bo wszystko, co pochodzi z serca, stanowi właściwy zakres jej talentu."

„Sądzimy jednak, że role, w których grają inne gwałtowniejsze akordy duszy, gdzie już nie owe wdzięczne namiętności zapełniają tło charakteru, ale gdzie w tragiczną kolizyę występują inne, potężniejsze siłą czynu i gwałtowniejsze w swych wybuchach prądy duchowe, tam świetlany, łagodny talent pani Modrzejewskiej traci swą siłę, bo on jest na wskróś kobiecym, a w takich rolach (Balladyna, Lady Makbet itd.) potrzeba już mezkiej siły."

Bronisław Zawadzki.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

LITERATURA. *„Co Bóg dał." Wydał F. S. Ejsmont. Ozdobione rycinami A. A. Ejsmonta.* Kijów. W drukarni uniwersyteckiej str. 367. 1872. Zbiorowe to pismo jest dalszym ciągiem wydawnictwa rozpoczętego w roku 1870 w Kijowie książką: *„Kwiaty i owoce."* Są to prace dawnych i po raz pierwszy występujących pisarzy. Znajdujemy między innymi tu W. Koronowicza: *„Bajron sceptyk, kosmopolita i zwiastun socyalizmu,"* Antoniego Nowosielskiego: *„O materyalizmie w nauce i życiu"* i *„Miłosierdzie jako strona czynna miłości"*, I. Kotkowskiego: *„Przedmiot, znaczenie i cel nauki i geografii*, T. hr. M. *„Rodzina"* i *„Studya o Heinem"*, powiastkę B. Dołęgi: *„Obrazek genialnego oficyalisty"*, pełen tryskającego humoru, w części zaś poetycznej tłumaczenie *„Legendy wieków"* W. Hugo, dokonane zdolnem piórem A. Pługa i poematu Lermontowa: *„Bojar Orsza"*, przez L. Kozłowskiego, jakoteż misteryum z dziejowych podań: *„Mysza wieża"*, opiewające znaną baśń o Popielu i myszach, napisane, jak się domyślają, przez Aleksandra Grozę. Wydanie książki zaleca się starannością i ozdobione jest litografiami.

— *Biblioteka warsz.* podaje słynne dzieło H. Taine'a: *„Historya literatury angielskiej"* w skróconym przekładzie *Edwarda Lubowskiego.*

— *Tygodnik wielkop.* umieścił rozprawę Leopolda Winklera: *„O literackiej i publicznej działalności Józefa Korzeniowskiego"*, a obecnie drukuje pracę St. Nowińskiego: *„O języku i literaturze narodowej"*. Nakładem tegoż pisma wyszły obrazki współczesne J. J. Kraszewskiego: *„Z życia awanturnika"*, jako przedruk z *Dziennika Poznańskiego.*

— Ukończyło się właśnie wydawnictwo *zupełnych dzieł Szekspira* w przekładzie niemieckim *M. Deliusa (Friderichs, Elberfeld)*, sławnego znawcy literatury szekspirowskiej i wzorowego tłumacza. Wydanie popularne i tanie.

— *Guttmann Oskar. Grundsätze der estetischen Bildung des menschlichen Körpers. Mit 98 Holzschnitten.* Leipzig J. J. Weber 1871. Bardzo ważne dla artystów dramatycznych.

HISTORYA. *Laboulaye Edward. Geschichte der vereinigten Staaten von Amerika. Mit einem Vorwort von J. C. Bluntschli III Band. Geschichte der Verfassung. Heidelberg Winter 1871.*

— *Ulrich von Hutten. Ausgewählte Gespräche und Briefe, übersetzt von Dr. Otto Häckel.* Historisch-politische Bibliotek. Berlin Heiman. 1871.

WYDAWNICTWA. W Berlinie wychodzić będzie pismo zbiorowe: *„Deutsche Zeit- und Streitfragen"*, pod redakcyą *Fr. Holtzendorffa i W. Onckena*, które w peryodycznych zeszytach umieszczać będzie rozprawy traktujące żywotne pytanie obecnego czasu, dotyczące szkolnictwa, kwestyi robotniczej, kościoła, polityki i t. d. Naprzód pojawią się Langa: *Życie Chrystusa i kościół przyszłości*, Roschera: *Waluta i reforma monetarna*, Stahla: *Rozwój kwestyi robotniczej*, Caro: *Prusy i Polska*, B. Meyera: *Reforma uniwersytetów*, Thaera: *Mieszkania robotników.*

TEATR. *W teatrze lwowskim* zapowiadają na bieżący miesiąc wznowienie następujących sztuk: *„Serafina,"* W. Sardou (główna rola: p. Aszpergerowa) *„Lekarz swojego honoru"* Calderona (główna rola: p. Ładnowski), *„Margrabia de Villemer"*, Georges Sand (główna rola panna Deryng). — Najnowszymi utworami bogatej literatury dramatycznej Niemiec są: *„Lady Esther"*, dramat H. Bohrmana, grany we Wrocławiu; krytyka podnosi sceniczny układ i szlachetną dykcyę; *„Pombal"* Juliusza Werthera, grany w Mannheim; *„Gustaw Waza"* Bernarda Scholca, grany we Frankfurcie; *„Gudrun"* Juliusza Grossego, przygotowujący się w teatrze Weimarskim. — *W Monachium* przedstawiono z wielkiem powodzeniem tragedyę Corneille'a: *„Cyd"*, w przekładzie Schneegansa. — *W Lipsku* przedstawiono operę Franciszka Lachnera: *„Katarzyna Cornaro"* pod osobistym sterem znakomitego kompozytora. — *W Gymnase* paryskiem grają z ciągłem powodzeniem dramat Th. Barrière i Prébois: *„Hrabina de Sommerive."*

— Komitet warszawskiego Tow. zachęty sztuk pięknych ogłosił trzy konkursy: *malarski, rzeźbiarski i architektoniczny.* Tematem pierwszego jest wymalowanie: *„Miłosierdzia,"* drugiego uplastycznienie: *„Wiary,"* trzeciego przedstawienie projektu: *„Zakładu publicznej zabawy."* Termin do 30 Listopada 1872; nagroda w każdym dziale wynosi 200 rs.

NEKROLOGIA. † *Henryk Suchecki*, lingwista polski i słowiański, profesor uniwersytetu Jagiellońskiego zmarł d. 3. b. m. w Krakowie, mając lat 61, Zmarły był od r. 1857 do 1865 profesorem języka i literatury polskiej na uniwersytecie w Pradze i członkiem wielu towarzystw naukowych.

— *Walne Zgromadzenie oddziałowe Towarz. pedagogicznego* odbędzie się w Niedzielę d. 7 b. m. w wielkiej sali ratuszowej o godzinie 10 rano.

Porządek dzienny: 1. Protokół i sprawozdanie z czynności Zarządu. 2. Wybór nowego Zarządu. 3. Odczyt prof. S. Sobieskiego: *„O wierszach G. Piramowicza."* 4. Wniosek Zarządu o podziale oddziału lwowskiego na dwie sekcye. 5. Bilans roczny dochodów. 6. Wnioski członków.

Z Zarządu oddziałowego Tow. pedag.
Lwów, d. 4 lipca 1872.

Ciągle trwająca jeszcze choroba autora *„Kalejdoskopu"* spowodowała znowu opóźnienie w przesyłce rękopisu; mamy nadzieję, że od przyszłego numeru druk już nie zostanie przerwanym.

Składka na fundusz szkół ludowych.

Pni J. Z. 2 złr. — Z kwotą poprzednią 34 zł.

Właściciel i wydawca: Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedzialny: Zygmunt Ulanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.